Na zachodzie Zachodu

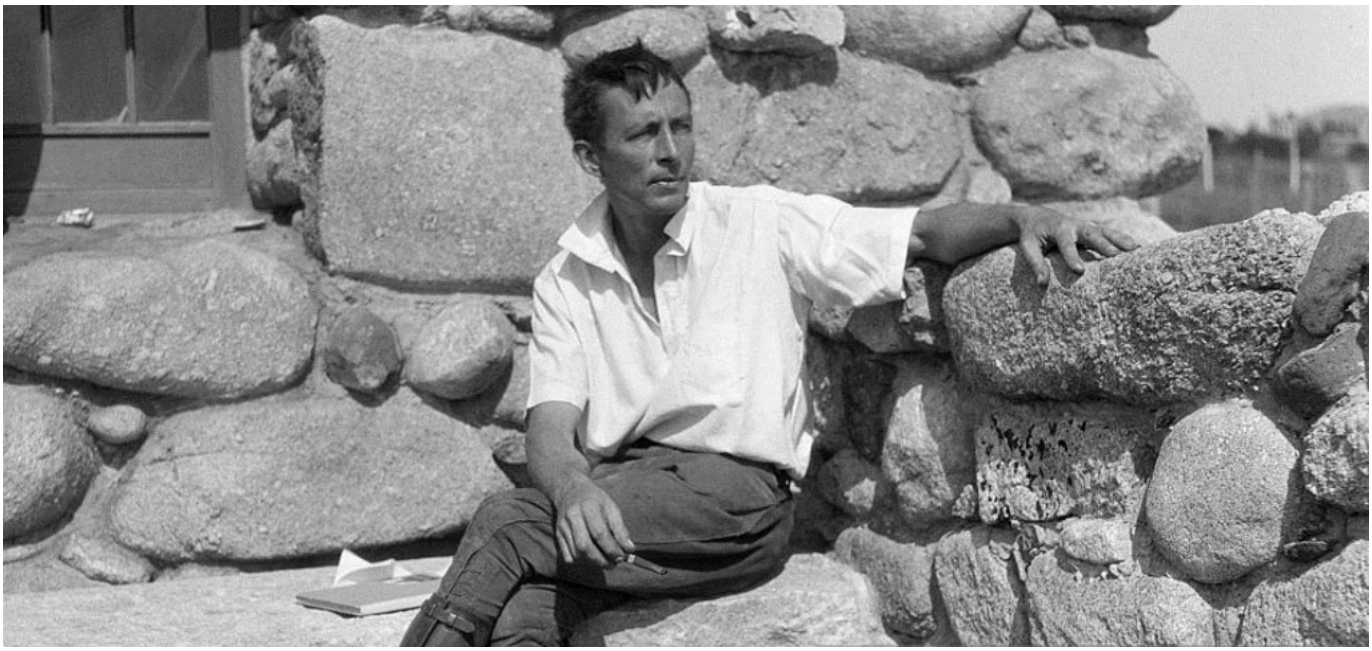

Robinson Jeffers, fot Getty Images.

Ryszard Sawicki

Najważniejszymi postaciami utworów Jeffersa był Ocean i Wiatr, nie ludzie.

Kiedy wspominałem stare deszcze,

bieg chmur i żelazny wiatr,

wtedy drżały drzewa.

Wzywałem jednego z wielkich tancerzy

błąkających się tutaj,

tych, którzy przybywają znad Aleutów

i znad otwartego Pacyfiku

tocząc się w kierunku przeciwnym

do ruchu słońca,

tych, którzy celebrują siłę

w wirze tańca

i tańcząc wpadają na stały ląd.

Przyglądałem się jak stopy tancerza

burzą wodę i jak ocean burzy się pianą za Lobos;

żelazny wiatr uderzył od wzgórz.

Od wzgórz, których czarne sylwetki zstępujące stromo w roziskrzoną powierzchnię oceanu. Od skał przeciętych smugami mgły. To mgła, którą wiatr oderwał od rozbitych fal i uniósł w górę. A unosząc mgłę uniósł i skały odrywając je od podłoża. Czerń i biel. Błękit nieba rozmyty w strefie, gdzie teraz króluje słońce. Zieleń wody zasłonięta przez pianę. W nocy, przy świetle księżyca, jeszcze więcej czerni, a biel chyba bardziej biała niż w dzień, bo widoczna wśród pogłębionej czerni. I nieustanny ruch fal biegnących znikąd, rozpraszających się w nicości. Wiatr, który nadchodzi, zrzuca kamienie z powrotem w ocean. *To wybrzeże prosi się o tragedię jak każdy piękny krajobraz.*

To górskie wybrzeże jest realne bo sięga daleko w przeszłość i przyszłość; jest częścią ponadczasowej doskonałości rzeczy – pisał Jeffers. A przecież mogło by się wydać nierealne, tak jest wspaniałe, tak ponad-ludzkie. Tak nieludzki jest wiatr, który uderza w ląd, niesie burzę. Burzę, przeciwstawioną w poezji Jeffersa żywiołowi ognia, który pustoszył wysuszone wzgórza. Burzy, którą poeta nazywał *dobrą istotą*, bo niosła deszcz. Taki deszcz jak ten, który powodował życiodajne powodzie w dolinie Nilu, albo przynosił życie obszarom ziemi w dorzeczu Gangesu. Lato, spokojny upał, bezruch powietrza, stanowiły zagrożenie dla życia tak jak pewnego rodzaju pokój może stanowić większe zagrożenie od wojny.

Lato i dni nużąco-złote są bardziej niszczące, bo powodują iż trawy stają się *trędowate* i nawet las może zapaść w stan choroby. W wierszu, który miał być jego

napisem nagrobnym, Jeffers mówił trochę bardziej optymistycznie. Adresował ten wiersz do czytelników, kimkolwiek by byli, więc wierzył, że przetrwają czytelnicy.

> *Podziwiałem piękno wtedy gdy byłem człowiekiem, teraz jestem częścią piękna. Wędruję w powietrzu będąc, ogólnie, gazem i wiatrem i tym co krąży w oceanie. Dotykam ciebie i Azji w tej samej chwili; zanurzam rękę we wschodzie słońca i w iskrzeniu trawy. Zostawiłem światło aby się sączyło z grobu do ziemi na dowód swojej miłości.*

Robinson Jeffers, fot Getty Images.

Ów kosmiczny wymiar egzystencji wyznawany i proponowany przez Jeffersa

pozwalał poecie na taki dialog z oceanem. *Jest we mnie starsze, twardsze i bardziej bezstronne oko*, mówił do oceanu, *niż to, które patrzyło na ciebie jak wypełniałeś swe dno zagęszczając ciężką mgłę i określając w dół swe granice, jedząc skałę i zamieniając się na miejsca z kontynentami*.

Taki sposób ujmowania krajobrazów, jakby z lotu ptaka, właściwy był już poezji sanskryckiej, obecny w poezji Kalidasy, który żył za panowania Czandra-Gupty Drugiego (375-455). W poemacie „Narodziny boga wojny", który można określić jako poemat religijny, bo wszystkimi jego bohaterami są istoty nadludzkie, występuje boski Himalaja, podobny do Oceanu lub Tancerza-Wiatru Jeffersa.

W części północnej znajduje się boski Himalaja,

władca gór,

sięgający od wschodniego do zachodniego Oceanu,

niewzruszony jak pręt do mierzenia ziemi…

Tam półbogowie przebywają w cieniu chmur,

przepływających nad łańcuchem górskich wierzchołków,

lecz gdy wygoni ich deszcz,

uciekają ku słonecznym szczytom…

Puste trzciny napełniają się wiatrem,

który wydziera się z grot,

jakby chciał podawać ton

dla pieśni niebiańskich minstreli…

Na taki spokojny opis wojny można było sobie pozwolić tylko dawno temu.

Dziś, kiedy spokój ten utracono, trzeba zachować świadomość tego, że życie

ludzkości jest jak życie człowieka, *trzepot od jednej ciemności do drugiej*. I tego, że nasza rasa, *o kruchych, obnażonych nerwach* stoi u wrót nowego, nad brzegiem jeszcze jednego oceanu. By dalej mogła płynąć, musi nauczyć się zanurzać w mocne fale, poddawać ożywczym wiatrom. Skądś trzeba czerpać siłę potrzebną w dalszej podróży, a skądże jeśli nie z piękna natury, które, chociaż gwałtowne i niekiedy straszne, przecież może natchnąć odwagą by żyć… mimo wszystko.

Aby przetrwać swój czas, trzeba *być wolnym od więzów tkanych własnymi rękami*. Trzeba odnaleźć moc, która jest w źródle, w tym jedynym źródle, które jest w każdym człowieku… nawet jeśli zabraknie go w ludziach. I jest w ludziach, jeśli go zabraknie w człowieku. A zawsze jest na dnie oceanu.

Szczęśliwe to były czasy, można by powiedzieć, kiedy o wojnie pisano w taki spokojny sposób jak to robił Kalidasa. Ale i Kalidasa wpadał w tony bardziej dramatyczne, podobne do tonów Jeffersa. Wtedy obydwaj, hinduski i kalifornijski poeta, tworzyli obrazy o atmosferze obrazów Gustawa Dore. Kalidasa zrobił to na przykład wtedy kiedy opisywał walkę z demonem Taraką.

Słońce spowiło się upiorną szatą

wielkich i strasznych, splecionych ze sobą węży,

jakby chciało wyrazić swą radość,

że zaraz legnie demon, jego wróg.

A tuż za kręgiem gorejącym słońca

szakale wyły jednym ostrym głosem,

jakby chciały już rzucić się na krew

króla zastępów walczących z wrogami.

I już sypią się z nieba

strumienie popiołu

pełne węgli płonących, z krwią i kośćmi ludzkimi zmieszane,

a rozżarzone krańce nieba, zasnute dymem,

przybierają szarą barwę karku osła.

Robinson Jeffers i jego dom w Carmel na wybrzeżu Kalifornii.

Echa tych sanskryckich wierszy można znaleźć u Jeffersa, kiedy mówi o *hałasie, który czyni słońce", a także o „wojnie, łamiącej wszelkie obietnice, zabijającej tych, których uwalnia". I o sztormie, który „nadchodzi, kiedy lwy polują wśród nocy pociętej piorunami*.

Nadejdzie, nakarmiony

pokojem,

kiedy skorupa jeszcze wytrzymuje:

do każdego z nas

trochę spustoszenia; ukłucie żądzy lub kropla przerażenia:

więc lwy polują w umysłach umierających ludzi: sztorm jest

dobry, jest dobrą, dobrą istotą,

jest łagodną przemocą, w gardle tętni ból i żal.

Sztorm nakarmiony pokojem… Jaki to pokój, którym karmią się burze? Jakie burze biorą swój początek, czerpią energię z pokoju?

Lermontow znał takie burze. Mówił o człowieku, który szuka burzy bo sądzi, że w niej znajdzie pokój. W burzy jest pokój, którego nie ma w rozszalałych duszach ludzkich. Nawet burza wydaje się spokojna w porównaniu z niepokojem, który ogarnąć potrafi dusze ludzkie.

To burza w przyrodzie jest istotą dobrą, nie ta w człowieku. W naturalnej burzy tkwi siła zdolna ugasić ogień płonący w ludziach, pożogę wojny, opętanie zniszczeniem, które czai się w narzuconym pokoju, pokoju niszczącej przemocy, pokoju, który jest w istocie samym okiem cyklonu. Pokój taki to ucisk wymuszający ostateczną uległość, bezbronność wobec najgorszych zbrodni.

Poezja w ujęciu Jeffersa jest właśnie dobrym przesileniem jakie następuje z burzą. Jego poezja to burza niosąca dobre, przedwieczne prawdy. To z powodu uderzenia gromu psy nie muszą już wyć *ku strasznemu słońcu*. Grom je ucisza. Ucisza też serca ludzkie.

Po burzy pełnej wyładowań atmosferycznych nadchodzi noc, którą opisuje Jeffers. Usiana czystymi gwiazdami, *żarliwie spokojna*. Noc, która wybacza *blask lampy na mojej wieży*. Wszystkie światła nocy *myślą milczenie*. Pierwotne i nieporuszone milczenie.

Trzeba więc myśleć, że *skała z głębi wód naszej duszy* przedarła powierzchnię. Z tej skały nawet i prorokować można to proroctwo, które pamięta mrok ciemności, ma w sobie urok ciszy. Ciszy, tej samej, którą znała ziemia, nad którą nie śpiewały jeszcze ptaki. Ciemności, tej samej, którą znała dusza ludzka, gdy nie było jeszcze ziemi. Gdy żadna machina nie wprawiała jeszcze w ruch sfer niebieskich.

Nim ptaki znowu pojawią się nad skałami Point Lobos, nad Oceanem Spokojnym, niech trwa ta cisza wokół nas, rozkładających ręce od Aleutów po Ziemię Ognistą. Ramiona człowieka, rozciągnięte szeroko, niech obejmują tę ciszę, tę przestrzeń nad Oceanem. I całą Ziemię. Od brzegu Aleutów po brzegi Japonii.

Robinson Jeffers, 1940 r., fot. John-Stanton.

Kiedy ptaki nadciągną znowu znad wód, niech zakwilą wieloma głosami. A myśli ludzkie niech im odpowiedzą też na wiele głosów, wieloma językami, wieloma wierszami. Bo mnogość myśli jest potrzebna duszy ludzkiej. Mnogość takich kwilących myśli, gdy nastaje nowy świt nad skałami Wielkiego Południa. Potrzebne są duszy ludzkiej *dźwięcznie hałasujące sokoły* i mewy i kormorany. Nad skałami i piaszczystymi brzegami światów, które się właśnie wyłaniają z tajemnych wód. Myśli takie jak ta o ludziach w kutrach rybackich, płynących na skraju mgły. O ludziach w łodziach, które *okrążyły Półwysep płynąc ku bojom w porcie Monterey*, i które wydają się płynąć *wprost z baśni, między skałami a kłębami oparów*. I o ludziach

patrzących na powracających z połowu rybaków. O nas, którzy powinniśmy wiedzieć, że *wszystkie sztuki gasną wobec istotnej rzeczywistości stworzeń zajętych swoimi sprawami pośród równie poważnych żywiołów natury*. Lub inna myśl. O tym, że kiedy nasi ojcowie przeszli w bród pierwszą rzekę Azji i przekroczyli tym samym pierwszą granicę świata oraz kiedy Atlantyk huśtał angielski dąb a żeglarz nie wiedział, że czeka go jeszcze jeden ocean, *już wtedy piły ze źródła piękna oczy orłów*. A morza rozpościerały się od blasku do blasku, od świtu do świtu.

Spłukane deszczem, poruszone gromem, łagodne oko błękitu, patrzyło nie tylko na bramy opuszczonych grodów lecz i na ocean, w którym nie było jeszcze ryb. To samo oko błękitu patrzy na ocean, po którym snują się teraz łodzie rybackie. Jest ono zawsze takie samo, byle nie spowijać go w upiorne szaty, jak to czynią niekiedy ludzie.